№ 50. Środa dnia 9 (21) Czerwca 1899 roku. Rok XVI.

PRZEDPŁATA:

W Radomiu: bez odnoszenia rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

Pocztą rocznie: rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50, kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Rękopisy bez zastrzeżeń nie zwracają się.

Gazeta Radomska

wychodzi w Środy i Soboty.

Redakcja i Administracja otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej rano do 4-ej po południu.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Lubelska, dom W-go Grodzickiego Nr. 136.

OGŁOSZENIA:

Na I-ej stronie za wiersz garmontowy lub jego miejsce 40 kopiejek.

Nekrologi, Reklamy, Nadesłane za wiersz petitowy lub jego miejsce 15 kop.

Ogłoszenia zwyczajne: pierwszy raz 8 kop., następne po 5 kop. za wiersz petitowy lub jego miejsce.

Od Administracji.

Kwartalnym i półrocznym prenumeratorom naszego pisma przypominamy, że o ile pragną uniknąć zwłoki w otrzymywaniu pisma, raczą wnieść prenumeratę przed dn. 1 lipca r. b.

Zamiejscowych abonentów objaśniamy, że wobec zmienionych przepisów pocztowych w nadsyłaniu prenumeraty, nie mają potrzeby, jak dotąd, pisywać listów do administracji, adresować i lakować kopert; wystarczy złożenie na poczcie pieniędzy z poleceniem przesłania ich pod naszym adresem.

Warunki prenumeraty w nagłówku pisma.

Prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do administracji pisma.

Wygody letnich mieszkań.

Zaledwie minie zimny zwykle w ostatnich latach maj, wszyscy zaczynamy marzyć o wyjeździe z miasta na wieś—na letnie mieszkanie. Każdy z nas wmawia w siebie, że w mieście mu duszno, powietrze nie świeże, brak lasu i kąpieli, niedostatek nabiału, dzieci nie mają potrzebnej swobody, a my sami należnego odpoczynku po pracy, należy więc koniecznie wyjechać na wieś, nabrać sił, zdrowia, pozbyć się tego wszystkiego, co w mieście krępuje naszą swobodę, lżej odetchnąć, jak mówimy zwykle, na łonie natury.

Pozornie tak wiele jest w tem racji, że pozostaje nam tylko ostatecznie zadecydować i rozpocząć doroczną pielgrzymkę w celu odszukania niezbędnego lokalu na wsi, by z nadejściem lipca przenieść się tam i używać wymarzonych rozkoszy.

Dawniej była moda, że tylko bardzo zamożni wyjeżdżali na czas letnich miesięcy i to najczęściej za granicę, pod pozorem leczenia wyimaginowanych chorób, wylęgłych w wyobraźni przez cały rok nieczynnych ludzi i ów wyjazd dobrze im robił, bo odświeżał umysł, dawał rozrywkę i zabawę, na którą mieli możność wydatkować bez uszczerbku swych kapitałów. Z czasem, swoim zwyczajem, zaczęli i mniej zamożni naśladować tamtych i również rok rocznie jeździli do wód, by powróciwszy z zagranicy, przez kilka miesięcy łatać nadszarpnięty budżet swych wydatków. Po pewnym czasie przekonano się, że to zbyt kosztowna zabawa, zaczęto więc poprzestawać na wyjażdżkach do niektórych miejscowości w kraju, ale wyjechać należało choćby dla utrzymania dobrego tonu i możności imponowania tym, którzy wyjechać nie mogli.

Dziś opanowała nas wszystkich gorączka mody, nakazującej mieszkać latem na wsi i wyjeżdżamy hurtem, tłumnie opuszczając mury miejskie, a ponieważ to naśladownictwo pierwowzorów niemal bezmyślnie zaczyna być powszechnem, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się, czy ono jest racjonalnem i wywołanem rzeczywistą potrzebą; czy jest korzystnem, czy też tylko niezdrowem dążeniem w ślady możniejszych.

Najpierw zastanowić się wypada komu należałoby wyjeżdżać na lato na wieś, a kto właściwie wyjeżdża. Pomimo hałasu, jakiego narobiła emancypacja, dziś jeszcze ustrój naszego społeczeństwa jest taki jakim był przed bardzo wielu laty; w rodzinie nie widzimy zmian nadzwyczajnych z tego powodu. Mężowie ślęczą w ciasnych i dusznych pokoikach biur, w warsztatach, w fabrykach, spędzają tam dwie trzecie części swego życia, a żony pozostają w domu wolne i swobodne, wyręczane w pracy domowej przez służące, a w pracy wychowawczej przez bony i guwernantki. Jeżeli więc komu należy się odpoczynek po pracy i zmiana tej atmosfery, w jakiej bezustannie niemal przebywa, a która wywiera fatalny wpływ na zdrowie, to właśnie tej brzydkiej połowie rodu ludzkiego, która niema czasu na spacery po ogrodach miejskich, ulicach, placach, lecz zmuszona jest, zgięta w kabłąk, ślęczyć nad pracą przez rok cały. Lecz ta połowa rodu naszego nie może wyjeżdżać, bo obowiązki przykuwają ją do pracy, więc jedzie ta druga, obiecując pierwszej w każde święto pozwolenie na zakosztowanie tej letniej rozkoszy, kończącej się zwykle na spełnianiu funkcji dostawcy różnych prowiantów, zmęczeniu jazdą tam i z powrotem, oraz wyrzuceniu ostatnich kilku złotówek na koszta przejazdu. Samo

---

22)

Pamiętnik Ex-Dziedzica,

Z DOPISKAMI

EX-PACHCIARZA,

szkice podwójną kredką

w oświetleniu Jankla Maślanki.

(Dalszy ciąg.)

Sadzają go na krześle, wiążą oczy. Podbiega panna Stefa na paluszkach, i starając się zmienić głos, z figlarną minką pyta:

— Ile razy było tak? ile tak?

Dopowiadają jej z boku, podsuwając pytania o różnych sprawkach Wosia.

Ten odpowiada co mu ślina na język przyniesie. Powychodziły zabawne historje!

Wreszcie spowiedź miała się ku końcowi, należało jedynie wyrzec się grzechów i żałować za nie.

Więc panna Myszewska podmówiona przez kogoś tłumiąc śmiech, znowu pyta według przyjętej formułki

— Czy wyrzekasz się kart?

Woś bije się w piersi i na cały głos:

— Wyrzekam!

— Czy wyrzekasz się handlowania końmi?

— Wyrzekam!

— Czy wyrzekasz się tego, od czego głowa boli?

(Niechciała powiedzieć: butelki).

— Wyrzekam! wyrzekam!

— Czy wyrzekasz się żydów?

To nad moje siły! Choćbym chciał, nie mogę! — zabrzmiała odpowiedź, powitana chóralnym śmiechem.

Skruszony grzesznik, zerwawszy z oczu chustkę, śmiał się wraz z innymi do rozpuku, chociaż sam o sobie gorzką wyrzekł prawdę.

Ale w nim szczerość brała zawsze górę nad innemi względami, a w dodatku przed takim spowiednikiem, chciał naprawdę otworzyć serce. Kochał!

ROZDZIAŁ VI.

Woś się żeni.

Anneksa. (Brulion listu).

Kochany Brysiu!

„Byłbym osobiście wpadł do ciebie, ale z nogą gorzej. Spuchła mi, jak kłoda, i doktór mówi, że trzeba będzie jeszcze ze dwa tygodnie poleżeć. Djabli mię biorą ze złości na siebie samego. Także mi koncept przyszedł do głowy: skakać z karety! Jeżeli możesz, wstąp do Skalskiego i przyjedźcie koniecznie, bo Fredzel żąda dwóch podpisów...“ (dalszy ciąg nieczytelny, podpisu także braknie, ale z treści listu wnoszę, że pisany był przez Wosia do Olbrysia, którego z żartów zwaliśmy niekiedy Brysiem).

Dalej na tejże karcie kalendarza pod datą marcową znajduje się kilka notatek cyfrowych z omłotu zboża z charakterystycznemi wykrzyknikami: „Niech djabli wezmą, taki nieplon,“ „nie wystarczy na siew,“ „Chaskiel musi poczekać do *nowego*“ i t. d.

Poniżej:

„Ułożyłem się z pięcioma. Dałem po sześć morgów na *pustkach* i po dwie lasu. Może się inni skuszą. Byłem w Krzywosękach. Żernicki radzi plan leśny...“

Obok rachunek:

„Geometrze dwieście pięćdziesiąt; faktorowi Maślance trzydzieści...“

(Kopia listu):

„Kalinówka, dnia (data przekreślona).

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Stosownie do życzenia Pana Dobrodzieja na „wybory“ przyjadę. Z nogą już jest lepiej. Siewy skończyłem. Owies przysłany przez Szanownego Pana Dobrodzieja powschodził bardzo ładnie. Za widzeniem przypadającą należność z podziękowaniem doręczę.

Przy tej sposobności załączam wyrazy wysokiego poważania i szacunku, którego zechce Szanowny Pan Dobrodziej przyjąć od szczerze wdzięcznego i oddanego sługi *W. K.*

PS. Paniom i całemu domowi najpiękniejsze ukłony. Ojca spodziewam się w tych dniach.“

Parę kart zapisanych cyframi i tekst depeszy:

„Warszawa.

....ski. Adwokat.

Plenipotencję poświadczoną przez wójta, posyłam.

Chodzi o zwłokę. Będę w jarmark wełniany.

Kalinowski.

Maj. (Kilka ręką Wosia skreślonych, zaczętych a niedokończonych wierszyków):

„Czy mię kochasz, czy nie kochasz,
„To zależy od twej woli!
„Tylko na mnie krzywo nie patrz
„Bo mię przez to serce boli.“

Poniżej ręką Skalskiego:

„Miłość jest jakby choroba
„Rzadko kto jej się ustrzeże...
„A że się panicz podoba
„Najmocniej ja temu wierzę!...“

(Domyślam się, że wierszyk ten wpisał później Woś do sztambucha panny Stefanii).

Pod wierszem tym kilka podpisów Wosia z kaligraficznym wykrętasem i wykrzyknik: „Jutro albo starosta, albo kapucyn!“

— DCN —

zaś lekarstwo nie odnosi skutku pożądanego, bo co siódmy dzień łyknięcie łyżeczki powietrza świeżego, jest zbyt małą dozą dla płuc zanieczyszczanych kurzem i dymem w ciągu dni sześciu.

Dalej wypada nam postawić pytanie, czy rzeczywiście odnosimy korzyści z letnich mieszkań takie, o jakich marzymy Nie mówię tu o tych, którym wystarcza na zajmowanie willi wspaniałych i niezbędną usługę, lecz o tych, którzy tylko pragną naśladować tamtych. Gnani więc ową chęcią naśladownictwa, wynajmujemy mieszkanie najczęściej w chatach wieśniaków, by pogodzić wielkopańską zachciankę z skromnemi funduszami. Przyzwyczajeni jesteśmy do zajmowania widnego, obszernego i wysokiego lokalu, przyzwoicie urządzonego i z możliwą, na jaką nas stać, wygodą. Na wsi zgadzamy się mieszkać w półciemnej, nizkiej, ciasnej chałupce. Lecz przybywszy po raz pierwszy na wieś po ukazaniu się zielonych pól naszym oczom, wszystko uważamy za prześliczne i wygodne. Ciasna izdebka, sąsiedztwo trzody i mieszkańców obory, wstrętne brudy i niechlujstwo wieśniaków, wszystko to widzimy w różowych kolorach. Rowek, w którym niema dwóch konewek wody, uważamy za rzeczkę, w której kąpiel sobie obiecujemy; dwie suche wierzby, skarłowaciała wiśnia, a pod nią krzak agrestu, wyrasta przed nami w ogród wspaniały, w którym obiecujemy sobie pod cieniem owych drzew snuć marzenia i zasypiać w poobiedniej drzemce, by po przebudzeniu się narwać świeżych owoców. Ujrzany lasek na widnokręgu, przypomina nam zapach malin i smak jagód, grzybów, zapach żywicy, śpiew tysiąca ptaków... Jesteśmy zachwyceni. Braknąć tu niczego nie może, bo gdzież jeżeli nie na wsi możemy mieć prawdziwe mleko, tanie kurczęta, świeże masło, ser, jaja, a w mieszkaniu choć będzie cokolwiek ciasno, ależ to tylko przespać się tu potrzeba, a cały dzień będziemy spędzać w ogrodzie, w lesie, nad wodą, bawić się będziemy śpiewem ptasząt, łowieniem ryb, może łódką po owej rzeczce będzie można popłynąć... O, to nie miasto, tu rozkosz, tu życie tylko spędzić, tak tu pięknie, tak uroczo! Tu, na wsi, nie będziemy potrzebowali się krępować, możemy w szlafroczku spędzić całe lato.—Wieśniacy, jacy to poczciwi ludzie, uprzejmi, usłużni! Słowem — wszystko jak najlepiej. Ów poczciwy wieśniak sam w zachwyt wpada, słysząc uniesienia nasze i dziwi się, że on nie rozumiał dotychczas, iż tyle skarbów wedle jego chałupy się zebrało, a więc w owym zachwycie drze z nas skórę za mieszkanie, biorąc nie raz szóstą część wartości całej chałupy za wydzierżawienie jej na kilka tygodni. My płacimy, bo to i tak tanio, daleko taniej niż w mieście. Nakoniec sprowadzamy się i najpierw przekonywamy się, że człowiek nie ptaszę, że sama ta przeprowadzka kosztuje kilka rubli, że od stacji daleko, a furmanki pod rzeczy dostać nie podobna. To jeszcze nic. Po kilku dniach zaczynamy się nudzić. Brak towarzystwa wprawia nas w rozdrażnienie; naprzeciwko mieszka w chałupie sąsiada jakaś pani, ale to podobno żona rzemieślnika, nie chcemy więc zawierać znajomości, ale, że zawsze ubrana, więc i my musimy się pokazać, że i nas stać na to. Więc ona w kapeluszu, to i my także, tamta wzięła bluzkę jedwabną, to przecież i my mamy jeszcze ładniejszą, ona w okryciu modnem to i my mamy świeżą żakietkę i tak dalej—wystawa strojów!

Na świecie chłodno, deszcze co dzień padają, trzeba w izbie siedzieć, a tam duszno, ciemno, zapach brukwi gotowanej dolatuje przez sień z chłopskiej izby. Wierzby cienia dać nie chcą, nadchodzi jesień, a owoców jeszcze nie skosztowaliśmy; w rzeczce owej ledwie żaby skrzeczą; do lasu mila drogi, jagód na lekarstwo dostać trudno. Mleko od jednej krowiny ledwo wystarcza na potrzeby gospodyni, o maśle wiemy tylko ze słyszenia, że w sąsiednich wsiach o milę drogi go mają, kurczęta dawno sprzedane, mięsa brak, musimy napisać do męża, żeby na niedzielę przywiózł kilka funtów z miasta; czasem po ciemku siedzieć wieczorem musimy, bo nafty brakło, zapałek również, a sklepu niema. Wieczorem komary, w nocy dobrze jeśli tylko pluskwy, a w dzień muchy pastwią się nad naszą skórą. Powietrze byłoby czyste, gdyby nie sąsiedztwo obory, chlewa i gnojówki. Studnia wyschła, sąsiad nie pozwala u siebie wody brać, bo obawia się by jej nie brakło, wreszcie ta woda zalatuje jakimś dziwnym zapachem. Dzieci znudzone jednostajnością życia, zawalane błotem, wobec niepogody, zmuszone siedzieć w kątach ciasnej izby, płaczą, a my w duchu im wtórujemy.

Wreszcie znudzeni, rozżaleni na swego gospodarza, na brak najelementarniejszych wygód, do jakich przyzwyczajeni byliśmy w mieście, wracamy, zarzekając się nie wracać tam więcej, ale na nieszczęście w ciągu zimowych miesięcy zapominamy niewygód, a ambicja znów w roku przyszłym, każe nam naśladować przyjaciół lub znajomych i choroba się wzmaga, trwa i do ruiny powoli prowadzi. Bo rzeczywiście ów wyjazd na letnie mieszkania w chorobę zamienił się u nas i to w chorobę serjo nas, średnio zamożnych, rujnującą. Po powrocie zastajemy dom w nieładzie, komorne zaległe, pensję wziętą naprzód, z góry, bo liczyliśmy, że zrobimy oszczędność na wsi. Owe przejażdżki wyrwały grosz częstokroć zapożyczony, od którego i procencik zapłacić trzeba. Wzamian za to wszystko jeżeli nie nabyliśmy reumatyzmu, to z pewnością kataru w najlepszym gatunku i to cała korzyść nasza. Ale wyjeżdżaliśmy na letnie mieszkanie! Ów mąż jak ślęczał przy pracy w dusznem pokoiku, tak teraz dwakroć dłużej będzie musiał ślęczeć, bo po powrocie ze wsi potrzebujemy jeszcze czemprędzej nowego kapelusza, okrycia, sukni, bucików, dzieci również wszystko podarły, potrzeba sprawić nowe i to odrazu wszystkim.

Kończąc tą notatkę, opartą na doświadczeniu, zapytuję, czy potrzebnie dążymy do naśladowania możnych, wobec dzisiejszych urządzeń miejskich? Zastanówmy się, że w nędznych chałupach wiejskich, przy braku dogodnej komunikacji i artykułów spożywczych, na wsi jesteśmy w nierównie gorszych warunkach latem, niż w mieście. Wycieczki częste za miasto w towarzystwie, którego tak starannie unikamy, byłyby stokroć lepszem lekarstwem dla naszego zdrowia, aniżeli kosztowne wyjazdy na wieś, gdzie wobec niechlujstwa chłopskiego, powietrze, którem przeważnie, siedząc w izbach, zmuszeni jesteśmy oddychać, jest nierównie gorsze od miejskiego, o ile nie weźmiemy w rachubę dzielnic żydowskich, lub ciasno zabudowanych. Hygieniczne warunki naszych miast w ostatnich czasach tak się zmieniły, że wyjazd na wieś nie zmienia dla nas obecnie warunków zdrowotnych tak, jak to bywało przed laty, a więc pocóż rujnujemy się materjalnie? Zastanówmy się dobrze i szczegółowo porównajmy warunki w jakich żyjemy w mieście takiem jak Radom i na wsi w nędznej chałupie, a dojdziemy do wniosku, że zbytecznie narażamy się na niepotrzebny wydatek i znużenie, jakiego na wsi doznawać musimy, a tem niepotrzebniej, że przez owe wyjażdżki bezcelowe, gnębimy tych właśnie, którym na serjo odpoczynek by się należał, tylko w warunkach dających możność odpoczynku, w całem znaczeniu tego wyrazu.

L. V. J.

Radom i Okolice.

Na budowę nowego kościoła złożyli:

P. A. L. rb. 1, p. W. Modzelewska kop. 50, p. Z. Skupiewski kop. 50.

Na odlew dzwonów złożyli:

P. Konst. Ciosłowska kociołek miedziany wagi około 30 funtów, p. W. K. brytwannę miedzianą, krzyżyk i kilka monet miedzianych zużytych, p. Wyszyńska krzyżyk niklowy mały.

Dla biednych, według uznania Redakcji rb. 2 kop. 50 bezimiennie.

Na pogorzelców w gub. lubelskiej bezimiennie rubli 5.

Na kolonje letnie w Solcu p. F. Rodkiewiczowa nadesłała kilka sztuk ubrań dziecinnych.

Mianowanie.

Stały członek radomskiego zarządu gubernialnego do spraw włościańskich, rzeczywisty radca stanu H. I. Hafferberg, mianowany został wice-gubernatorem radomskim.

Odznaczenie.

Na wystawie łowieckiej, mieszkaniec naszego miasta p. J. Skibiński otrzymał wielki medal srebrny za maszynkę do robienia gilz do nabojów, własnego pomysłu.

Cykliści.

Towarzystwo kolarzy krakowskich „Sokół" nadesłało cyklistom radomskim zaproszenie na wyścigi i obchód wianków.

Ślub.

W niedzielę 18-go b. m. w kościele po-bernardyńskim odbył się ślub dra Romana Kossowskiego z p. Marją Ettinger, mieszkanką Radomia.

Z przyszłej wystawy.

W tych dniach zarząd wystawy radomskiej otrzymał zawiadomienie, iż ministerjum spraw wewnętrznych zezwoliło na wydanie z funduszów kasy miejskiej rb. 4000 temuż zarządowi wystawy, tytułem bezprocentowej pożyczki, niezbędnej dla pobudowania budynków wystawowych.

Niedbalstwo.

W dniu wczorajszym, w jednej z piekarń tutejszych wypieczony był chleb z mąki stęchłej. Tym razem zaznaczamy to lekceważenie pieniędzy i zdrowia ludzkiego, bez wymienienia nazwiska właściciela piekarni, której kartkę firmową widzieliśmy na chlebie, lecz ostrzegamy, że na drugi raz nie będziemy tacy dyskretni.

Pod adresem stowarzyszenia cyklistów.

Zapytywani jesteśmy o termin i miejsce powtórnego zebrania członków założycieli Towarzystwa cyklistów radomskich, jak również i o przedmiot obrad zebrania, które ma być prawomocne bez względu na ilość zebranych członków.

Odpowiedzi udzielić nie mogliśmy, objaśniając, że nas o tem nie zawiadomiono. Może by który z panów cyklistów wyjaśnił tę sprawę?

Ławki w ogrodzie nowym.

Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, że bardzo wiele ławek w ogrodzie spacerowym, ustawionych jest tak, iż siedzenie na nich jest niemożliwe, w skutek zbytniego pochylenia ku tyłowi, a wiele ławek ustawionych jest w miejscach nie ocienionych drzewami.

Akt uroczysty w gimnazjum męzkiem.

W poniedziałek o 2-ej po południu odbył się w tutejszem gimnazjum akt uroczysty zamknięcia roku szkolnego. Z pomiędzy utworów wykonych przez uczniów, na wyróżnienie zasługuje odegrana przez orkiestrę polka „Malutka" kompozycji J. F. Rybackiego. Patenty z ukończenia gimnazjum otrzymali: W. Mazurek, M. Korolec, S. Klebanowski, L. Plużański, M. Matuszewski, W. Graniczny, J. Skorżyński, M. Olszowski, W. Dąbrowski, S. Marks, M. Leśkow, J. Zbrowski, K. Puchawicz, A. Krzyżanowski, M. Asłanowicz, S. Nejman, S. Budzyński, J. Olewiński, M. Miłonow, J. Popiel, E. Proniewicz, W. Jasiński, S. Lerczyński, J. Ochocki i J. Maleszewski.

Prócz wymienionych, otrzymali patenty i nagrodzeni zostali medalami srebrnymi: Piotr Filosofow i Icek Wajnberg.

Akt zakończony został odśpiewaniem hymnu „Boże Cesarza chroń!".

Popis w prywatnej szkole żeńskiej p. Kurosz.

W ubiegłą sobotę zamknięty został rok szkolny w prywatnej pensji żeńskiej tutejszej, utrzymywanej przez p. Emilję Kurosz.

Szkoła podzieloną jest na klasę wstępną i cztery oddziały. Przy szkole istnieje pensjonat dla panienek z okolicy.

Uprzejmie zaproszeni przez przełożoną do zwiedzenia zakładu, mieliśmy sposobność przekonać się dowodnie o jego działalności nie tylko z samego popisu, ale z prac uczennic, przygotowywanych w ciągu roku szkolnego na oddzielne lekcje.

Z uczennic wyróżniają się szczególnie pp.: Stefanja Szenk, Helena Fürstenberg, Marja Piekarska, Teodozja Rucińska, Salomea Waga, Marja Kulengowska, Irena Waga i Zofja Zdzieszyńska, które też otrzymały nagrody, oraz Janina Duszewska i Marja Stankiewicz, również nagrodzone za pilność w nauce. Uczennice bardzo biegle czytają w językach: rosyjskim, polskim i francuskim, ze zrozumieniem opowiadają to co przeczytały, pięknie deklamują i starannie piszą. Szczególna uwaga zwróconą jest na dyktando, prowadzone systematycznie, starannie przeglądane i poprawiane. Arytmetyka i gramatyka wysoko posunięte. Inne przedmioty—stosownie do programu szkoły.

Najzupełniej bezstronnie, jako obeznani z pedagogiką i najnowszymi jej kierunkami, śmiało powiedzieć możemy, że wiele musielibyśmy zwiedzić, a szczególnie szkół żeńskich, byśmy mogli napotkać tak sumienną pracę nad powierzonemi dziećmi. Z pedantyczną systematycznością prowadzony jest każdy przedmiot wykładowy i z wielką rutyną, oraz troską nie tylko o to, aby przejść dany podręcznik w określonym czasie, lecz aby to, czego uczennica się uczyła było przez nią zrozumiane i utrwaliło się w młodocianej główce. Nic też dziwnego, że uczennice szkoły p. Kurosz z łatwością wytrzymują egzaminy do szkół żeńskich rządowych. Dziwnem się zaś wydaje że tak pożyteczna i z zaparciem siebie, a umiłowaniem zawodu, prowadzona praca, nie jest należycie ocenianą. Nie mówimy tu już o należnej wdzięczności, ale dziwić musi każdego niedostateczne popieranie zakładu naukowego przez miejscowych i okolicznych mieszkańców. Byliśmy pewni, że w tym zakładzie spotkamy co najmniej okrągłą setkę panienek, szukających początkowego wykształcenia pod tak troskliwą o rozwój umysłów opieką, a zastaliśmy zaledwie 30. To w Radomiu trochę za mało; a szkoda wielka, że nie popieramy tej szkoły, bo w razie zamknięcia, brak jej dotkliwie byśmy odczuli.

Lokal zakładu bardzo obszerny, wygodny, widny i konstrukcja ławek, jako też innych sprzętów—niemal według ostatnich wskazówek hygieny szkolnej. Pokój pensjonatu urządzony skromnie, a jednak zapewniający wszelkie wygody dla dziecka niezbędne.

Słowem wynieśliśmy ztamtąd jak najlepsze wrażenie, tylko zachmurzała nas myśl troski przełożonej o byt materjalny zakładu, lecz my przesyłamy życzenie wytrwania na posterunku w obranym zawodzie, z przekonaniem, że panie radomskie, w imię dobra swych córek, poprą w roku następnym szlachetną pracę i usiłowania.

Zamknięcie roku szkolnego.

W zakładzie naukowym L. Lorentza w Radomiu na akcie uroczystym zakończenie roku szkolnego, otrzymali następujący uczniowie nagrody i pochwały: Z klasy wstępnej niższej nagrody: K. Adamski, pochwały: A. Maresch i M. Kucharski. Z klasy wstępnej wyższej nagrody: J. Dębski i B. Gładyszewski. Z klasy pierwszej nagrody: E. Oleks, pochwałę: W. Matacz. Z klasy II-ej nagrody: K. Borszewski i J. Skorupski, pochwały: S. Dębski, W. Krukowski i M. Stecki. Z klasy III-ej nagrodę: R. Szczepański, po-

chwałę: W. Jarmuliński. Z klasy IV-ej nagrodę: J. Zajączkowski.

Uczniowie, którzy w r. b. ukończyli cztery klasy przyjęci zostaną do 5-ej klasy szkoły handlowej z prawami państwowemi p. Laskusa w Warszawie na równi z uczniami szkół rządowych.

P. Lorentz buduje przy ulicy Długiej gmach na szkołę z uwzględnieniem wszelkich warunków hygienicznych.

Małe wyjaśnienie.

W ostatnim numerze naszego pisma zamieściliśmy przedrukowaną z „Kur. Warszaw." wiadomość o nie przyjęciu przez berlińską firmę „Union Elektricitäts-Gesellschaft" listu pisanego do niej w języku polskim, przyczem była wzmianka iż firma ta stara się o koncesję na oświetlenie elektryczne naszego miasta. Obecnie dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że wzmiankowana firma berlińska nie ma nic wspólnego z firmą, rosyjskiego towarz. elektr. „Union" w Petersburgu. Starania zaś o koncesję na oświetlenie Radomia podjęło to ostatnie towarzystwo, a nie towarzystwo pod takąż firmą istniejące w Berlinie.

Sprostowanie.

W № 49 naszego pisma wkradła się pomyłka w wiadomości p. t. „Podwyższenie etatów", a mianowicie woźni pobierać będą nie 140, a 240 rb. P. prezydent miasta prócz pensji ma przeznaczone rb. 400 na rozjazdy.

Z Opatowa.

Dopiero od dni dwóch stan powietrza się zmienił mamy ciepło i względną pogodę. Zaczęli też gospodarze siać trawy, które są prześliczne i w ogóle zboża są w przepięknym stanie. Opatów zaroił się niebywałym ruchem z powodu przyjazdu i noclegu u nas „Lutni" radomskiej. Śpiewacy podążyli do starego Sandomierskiego grodu by uczcić go koncertem na cel dobroczynny. W prastarej świątyni naszej po-klasztornej odbyła się wielce sympatyczna uroczystość przystąpienia licznie przygotowanych dziatek płci obojga do pierwszej Świętej Komunji. Dziatki odpowiednio do tej wielkiej uroczystości przybrane w godowe szaty z bukietami u boku chłopczyki, a dziewczęta w wianuszki na głowie i w welonach, po odśpiewaniu *Veni Creator* i odprawieniu Mszy św. przez proboszcza, ks. Tomaszewskiego, po rzewnem przemówieniu kapłana, przystępowały do św. Komunji.

R.

TO I OWO.

Popieranie swoich.

Chociaż nic nie wiedziałem o tem, że w cyrku ma być dany koncert w ubiegłą sobotę, ale dusza moja ma widocznie pewne przeczucia wokalne, bo coś mnie gwałtem ciągnęło wieczorem ku Długiej ulicy—poszedłem więc za tą wskazówką i nie omyliłem się. Czytam czerwony afisz przy żółtem świetle latarni: Wielki koncert orkiestry pod dyrekcją p. Aleksandrowicza, ze współudziałem Miss Zephory, muzykalnej nie tylko na różnych instrumentach rżniętych, ale nawet na tłuczonych lub stłuc się mogących — butelkach i kieliszkach. Miło zrobiło mi się w duszy i słodko na sercu. Toć bywały czasy, że i ja muzykalny byłem na butelce i kieliszkach, w dobrych minionych czasach. Nie dawałem wprawdzie koncertu na tych instrumentach, ale podobno w gronie równych sobie artystów, koncertowo dotrzymywałem kompanji. Warto wspomnienia odnowić; wszedłem więc, w skupieniu ducha usiadłem i ciekawy zkąd i kto zacz owi orkiestrowicze, czekam. Wchodzą artyści. Patrzę—a toć to część moich dobrych znajomych—ci sami co panu radcy Gaudentemu na imieniny grali wówczas, gdy ja odę na cześć radomian pisałem. Ucieszyłem się, że pod takim skromnym tytułem afisza, kryją się tacy mistrze, a najwięcej z tego, że to wszystko „nasi", nie żadni tam jacyś zagraniczni lub krajowi obieżysasi. Po należytem ulokowaniu się na efektownie przystrojonej estradzie, zaczynają grać, zdaje się marsza palestyńskiego, na swojską nutę: „Cicho Jojne, cicho, sza...! Przyjdzie Sure—buzi da", a choć początek obywał się bez fletu—wszystko szło składnie. Kontrabas z bębenkiem prym trzymali, od czasu do czasu gdy pierwszy z zapałem chrząknął, drugi wtórując *allegro* wykrzyknął, po cichu skrzypce *pianissimo* dały znać o sobie, byśmy ocenić należycie *tremolando* tonów trąbki mogli. Spóźniony flet też przybył nareszcie i odrazu prym chwyciwszy, dowiódł nam jak na dłoni, że *koncert* mu nie pierwszyzna. Skończyło się to wszystko z należytą brawurą, a zebrana publiczność z radości na wiwat nie tylko klaskała, ale i laskami podłogę do należytego entuzjazmu powoływała. Było tam jeszcze prócz tego zagranych wiele utworów takich mistrzów, jak: J. Matis, Waldteufel, Lecher, Rozenkrantz, Keler-Bell, Krymling i wielu innych, lecz opisać wykonanie tej kaskady uwertur, serenad, pot-pouri i t. p.—niepodobna, bo jeden utwór od drugiego w co raz większy wprawiając nas zachwyt, zatarł zmysł krytyczny i tylko zapał i entuzjazm po sobie zostawił, a wdzięczność zaskarbił dla impresarja tak pomysłowego, któremu ta szczęśliwa myśl do głowy wpadła—uczęstować nas tego rodzaju ucztą artystyczną. O wykonaniu utworów na butelkach i kieliszkach przez p. Aleksandrowicza ze współudziałem miss Zephory, nie wiele powiedzieć mogę, bo ja na tych instrumentach w inny sposób jestem muzykalny; zauważyłbym tylko, że gdybym tę muzykę słyszał przez artystów grających w kostjumach odpowiednich do areny, na której wystąpili, byłoby większy zdaje się efekt sprawiło. Najwyżej mogę zrobić porównanie, że ci, co podobny koncert na podwórzach dawali, niech się schowają pod korzec, wobec słyszanych artystów. Tu i precyzja i siła była wyrazistą i z należytem zapałem oddaną. W końcu należy się jeszcze podziękowanie członkom straży ogniowej, że gotowi stanęli do gaszenia zapału, jaki mógł był ogarnąć publiczność. Żal mi tylko było, że nie mieli sposobności ku temu, więc czas na próżno zmarnowali, gdy miss Zephorze zachciało się grać na butelkach w cyrku. Pocieszcie się panowie, że jak drugi raz będzie dawała koncert w podwórzu, już was wzywać nie będą.—Prócz ciotek i wujów artystycznej drużyny, publiczności było nie wiele. A szkoda, warto było posłuchać...

Z Kraju.

ECHA z WARSZAWY.

(*Wystawa łowiecka.—Jakie konie hodować mamy*).

Kto nie był na wystawie łowieckiej, niechaj pośpiesza, bo już wkrótce zamkniętą zostanie Czego tam niema! Widzieliśmy broń, z której wolno myśliwym trafiać w najodpowiedniejsze miejsce nawet takiej bestji, jak uciekający zając; była też i broń taka, z której najlepsi myśliwi pudłowali; można było widzieć skóry zwierząt drapieżnych, padłych ze strachu przed nowoczesnemi ulepszeniami: prochu bezdymnego, kul niklowanych, fuzji rewolwerowych i t. p. narzędzi rekomendowanych przez Towarzystwo opieki nad zwierzętami. Ustawione po rogach sal fonografy opowiadały wiarogodne przygody myśliwych z dawnych i obecnych czasów. A więc słyszeliśmy np. jak dzielny strzelec napadnięty przez dwóch tygrysów, jednego wilka i siedmiu zajęcy, z dubeltówki dwoma celnymi strzałami wszystkich trupem położył i jeszcze przebiegającego jelenia ranił, a jednocześnie z lewej ręki na odlew swego gajowego koło ucha zamalował w nagrodę jego gapiostwa; albo jak tegoczesny myśliwy owinięty w pierzynę, z garnkiem żarzących się węgli na stanowisku stratowany był przez lisa, goniącego sarnę w lesie. W innej sali na ekranie pokazywano podobizny myśliwych, polujących w święto podczas nabożeństwa lub tych, co po oznaczonym terminie polowania, narzekając głośno na kłusowników, po cichu w pole z fuzyjką chodzą. Widzieliśmy także polujących na kaczki (ale nie dziennikarskie) jak niesieni przez Wojtków na plecach przez wody i błota, w tej pozycji siedząc, pudłowali jak należy; a i racjonalny sposób polowania z sanek na kuropatwy również poglądowo był przedstawiony. W końcu warto także było widzieć okazy stratowanych pól cudzych, szkody porobione przez zwierzynę drobnym sąsiadom i łapki zajęcze, należące do trofeów polowań z za Żelaznej Bramy. W oszklonej szafie widzieć można było różne przybory niezbędne do polowania, a więc: kieliszki różnych wymiarów, starkę, ratafję, kiełbaski suszone, garnitury z sukna szaraczkowego z zielonymi kołnierzami, torby z kociej skóry i jako zabytek archeologiczny kańczuk, którym wykładano w sposób poglądowy basarunek tym, którzy nie potrafili odróżnić brzydkiej od pięknej połowy rodu jeleniego. I wiele jeszcze innych jest tam rzeczy ciekawych, o wiele ciekawszych niż na wystawie koni. Tu nam krótko węzłowato pokazali kilkanaście okazów sprowadzonych z zagranicy lub pochodzących od rodziców ztamtąd sprowadzonych i dano do zrozumienia, że po za koniem zdatnym do wyścigów i totalizatora—niema dobrych koni, wartych nagrody. Do jazdy powozowej nam są konie zbyteczne, bo teraz to dobrze jak przed kościół zajedzie się kamieniarką, a nie karetą, która czeka lepszych czasów. Do przewożenia ciężarów mamy koleje, do jazdy wierzchowej rowery, a włościanie mogą swe grunta i w swe hetki pętelki podorywać. My hodujemy konie rasowe—angielskie, do wyścigów zdatne, by nas nikt nie mógł dogonić. A któż się teraz nie ściga?—Wszyscy biegniemy, byleby wyprzedzić innych, — na koniach więc będzie nam łatwiej zdobyć palmę pierwszeństwa w tym ogólnym pościgu za groszem.

Nieon.

Łódź.

Przed kilkoma dniami miał tu miejsce taki fakt: chłopiec jakiś zemdlał w sieni domu № 18, przy ul. Piotrkowskiej. Kilka pań, zamieszkałych w tym domu po ocuceniu chłopca zawezwało w tymże domu mieszkającego d-ra P., człowieka dość zamożnego.

Pan ten dowiedziawszy się, że chłopiec zemdlał z głodu, gdyż, jak opowiedział, już od dwóch dni prawie nic nie jadł, raczył wspaniałomyślnie poradzić by mu jeść dano i odszedł nie dodawszy nawet 10 groszy do zebranej przez litościwe panie skromnej sumki, a co najgorsza nie zbadawszy nawet chorego i bardzo jeszcze osłabionego chłopca.

— Mieszkańcy bawełnianego grodu, prawdopodobnie nie będą zadowoleni z opinii jaką w „New-Jork Heraldzie" wydało o Łodzi grono amerykanów, podróżujących po Europie. Opis ten brzmi: „po za handlem i przemysłem, który jest znaczny, miasto samo przedstawia się bardzo niechlujnie, hotele posiada brudne, bez komfortu, drożyzna większa, niż unas. Nie tylko miasto, lecz i ludzie sprawiają wrażenie niesympatyczne.

Razi w nich arogancja, z czego podobni są do nadętych głupotą chilijczyków, to znów pyszałkowatość, co jest właściwością charakteru nieokrzesanych meksykanów, są gburzy i nieucy, a chciwość ich na pieniądze może iść w porównanie z żądzą wygłodniałych lwów w chicagowskim ogrodzie zoologicznym.

Wogóle podczas całego pobytu 10-dniowego zdawało nam się, że jesteśmy na południu naszego kontynentu, w jakiemś mieście, które stoi na bardzo nizkim szczeblu cywilizacyjnym". Jakie to szczęście, że nie zwiedzili amerykanie więcej naszych miast.

Z Cesarstwa.

Petersburg. Policja tutejsza odkryła niedawno bardzo interesujący domek gry hazardowej, w którym zaaresztowała wielu graczy. Przy spisywaniu inwentarza tego domku, urzędnicy policyjni znaleźli szczególnego rodzaju przyrządy do gry, których nie spotykano dotąd nigdzie. Zamiast kart używano w tem towarzystwie żelaznych tabliczek, których niewolno było dotykać się palcami, trzeba je było podnosić magnesami. Oszukiwanie naznaczonemi kartami było więc niemożliwem. Przy całej zręczności w manipulowaniu palcami, żaden z członków „żelaznego" Towarzystwa nie był w stanie „corriger la fortune". Lecz wszystkie te środki przeciw oszustwu w grze nie zdołały obronić zaaresztowanych od oskarżenia ich o grę zabronioną.

— W cyrku Klejberga przy ul. Bassejnej miał miejsce straszny wypadek, drugi już w krótkim przeciągu czasu. Na ten raz ofiarą padł znany poskramiacz dzikich zwierząt, Karol Parti.

W naznaczoną na przedstawienie godzinę, cyrk szczelnie zapełniła publiczność, z niecierpliwością wyczekująca początku przedstawienia.

Nakoniec zjawia się na arenie poskramiacz Patti i wchodzi do ogromnej klatki, w której dość spokojnie leżały 2 wilki, 2 niedźwiedzie i duży dog. W chwili, gdy Patti ustawiał zwierzęta na naznaczonem miejscu i robił przygotowania, ażeby wpuścić do klatki jeszcze 2 lwice, jeden z niedźwiedzi, rozdrażniony widocznie silnem uderzeniem szpicruty, podniósł się na tylne łapy i nagle rzucił się na poskramiacza.

Zanim się kto spostrzegł, bestja objęła nieszczęśliwego łapami i powaliła na ziemię. Nie straciwszy przytomności, Patti odepchnął niedźwiedzia i wsunął mu głęboko w gardło rękę. Ale to niewiele pomogło. Rozwścieczone zwierzę powtórnie rzuca się na swoją ofiarę i rwie ją pazurami. Na jęki nieszczęśliwego wpada z widłami na arenę jeden z posługaczy cyrku, Arszański, ale niestety, widły przy pierwszem uderzeniu łamią się. Przytomny Arszański, stawiając na karb własne życie, łapie stojący obok drewniany drąg i kilkakrotnie uderza nim silnie po głowie niedźwiedzia, tak, że ten, oszołomiony razami, na chwilę wypuszcza swą ofiarę. Korzystając z tego, nadbiegła służba wyciąga z klatki nieszczęśliwego Patti'ego, ale w strasznym stanie. Następnie do klatki wszedł przybyły właśnie do cyrku drugi pogromca, K. Bekman, który narzucił na niedźwiedzia sznur, odciągnął go na bok od innych zwierząt i na miejscu zastrzelił z rewolweru.

Ze świata.

Szczecin.

Spotkanie się parowców pasażerskich wywołało straszną katastrofę. Liczba ofiar dojdzie prawdopodobnie do 50, przeważnie dzieci.

Nieszczęście stało się na Odrze, pod Szczecinem. Parowiec „Bluecher" w drodze ze Szczecina, właśnie odpływał, gdy parowiec „Poelitz" uderzył nań z całą siłą. „Bluecher", literalnie przepołowiony, w ciągu niespełna 3 minut poszedł na dno. Na statku znajdowały się przeważnie dzieci, powracające do domu ze szkół Szczecińskich.

Na obu statkach i na wybrzeżach rozlegly się szalone okrzyki rozpaczy, kilku odważnych podróżnych na pokładzie zanurzającego się parowca „Bluechera", ocaliło kilkanaścioro dzieci i kobiet, przerzucając je wprost na pokład „Poelitz", poczem pomyśleli dopiero o własnym ratunku.

Kapitan „Bluechera" ocalił się wdrapaniem na komin sterczący o jakie pół metra nad wodą, ztąd też udało się wyratować kilka innych osób. Akcję ratunkową niezmiernie utrudniał płócienny dach „Bluechera", a nadto okoliczność, iż wiele kobiet i dzieci w chwili katastrofy znajdowało się w kajucie, której drzwi, skręconych uderzeniem, żadną siłą nie zdołano odemknąć.

W całem mieście panuje niebywałe wzburzenie, dotychczas brak 35 osób, przeważnie dzieci.

Winę nieszczęścia przypisują ogólnie kapitanowi parowca „Poelitz", Ehrke'mu, którego wraz z maszynistą bezzwłocznie uwięziono.

Podobno ostatni, w chwili katastrofy, gawędził na

pokładzie zamiast pilnować maszyn. „Poelitz" przy uderzeniu odniósł również nader ciężkie uszkodzenia.

Straszny miał być widok nieszczęśliwej dziatwy, walczącej z falami. Przez chwilę na powierzchni nurtów widniały liczne główki i rozpaczliwie wzniesione rączęta, nim jednak zdołano pospieszyć z ratunkiem, wszystko znikło bez śladu.

W sobotę od rana pracowali nad podniesieniem rozbitego statku „Bluecher".

Na wybrzeżu rozgrywały się rozdzierające sceny. Wiele rodzin zrozpaczonych przez noc całą nie ruszyło się z miejsca, wyczekując chwili ujrzenia choćby zwłok najdroższych. Nie jedna rodzina utraciła po kilkoro dzieci. Do g. 2 pp. „Bluecher" o tyle był wydobyty, iż ukazał się pokład, z którego uprzątnięto zwłoki 9 ofiar: 4 kobiet, 2 dziewcząt i 3 chłopczyków. Jedna z wyczekujących na wybrzeżu kobiet, na widok martwej jedynaczki, uległa nagłemu obłąkaniu.

Do wieczora spodziewali się o tyle podnieść statek, by módz dotrzeć do kajut. Dotychczas odnalezione zwłoki noszą ślady walki śmiertelnej i różnych obrażeń.

Telegramy.

Petersburg, 20-go b. m. Na podstawie Najwyższego Rozkazu Cesarza Aleksandra III z dn. 7-go kwietnia r. 1894 utworzoną została przy ministerjum sprawiedliwości pod przewodnictwem ministra osobna komisja do przejrzenia praw obowiązujących w sądownictwie. Obecnie komisja po pięcioletniej usilnej pracy ukończyła Najwyżej jej powierzony ogromny (przeszło 4,500 artykułów w projektach oddzielnych) pierwszorzędnej wagi państwowej trud przejrzenia rosyjskiego prawodawstwa sądowniczego.

Paryż, 20-go b. m. Waldeck-Rousseau ma już gotową listę ministrów i program polityczny. Pragnie on utrzymać gabinet energicznej obrony rzeczypospolitej, złożony z różnych pierwiastków od Béranger'a do Millerand'a. Program swój, dążący do likwidacji wszystkich zawikłań, stawia on na pierwszym planie, a kwestje osobiste dopiero na drugim planie. Liczy on, że dla swego programu pozyska 350 głosów. W gabinecie Waldeck-Roussea'u jedna z tek przeznaczona zostanie Millerandowi. Podobno do gabinetu tego wstąpi także Constans.

Paryż, 20-go b. m. Dzienniki radykalne tryumfują z powodu rozbicia się usiłowań Poincaré'go. Z radykalnej strony wysuwają obecnie kandydaturę Waldeck-Rousseau, motywując żądanie tem, iż zachodzi potrzeba silnego gabinetu. Zupełnie niespodziewanie mówią też o przyjęciu teki wojny przez p. Casimir-Périer'a.

Berlin, 20-go b. m. Na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia parlamentu znajduje się projekt w sprawie „pragnących pracy", który, jak wiadomo, wyszedł z inicjatywy cesarza Wilhelma.

Rouen, 18-go b. m. Kardynał arcybiskup Sourrien umarł.

Konstantynopol, 19-go b. m. Serbski agent dyplomatyczny udał się wczoraj do sułtana z zażaleniem z powodu przekroczenia granicy przez albańczyków i żołnierzy tureckich. Zagroził on, że gdyby rząd turecki nie przywrócił porządku na granicy, Serbia wystąpiéby musiała bardzo energicznie. Sułtan dał rozkaz posłowi tureckiemu w Białogrodzie, by wspólnie z komisją serbską rzecz na miejscu zbadał.

Rozmaitości.

Ostrożnie z konwaljami. Pora konwalji daje spos bność do zwrócenia uwagi wszystkim zwolennikom tego kwiatu, że zarówno łodygi, jak i sam kwiat zawierają w sobie sil ą truciznę. Należy przeto unikać trzymania kwiatu konwalji pomiędzy wargami, ponieważ najmniejsza zaledwie dostrzegalna ranka na wargach, po wciśnięciu się do niej soku z tego kwiatu nabrzmiewa niekształtnie i sprawia ból. Jednocześnie nie należy wyrzucać okwitniętych, zwiędłych kwiatów konwalji na podwórze, gdzie chodzi drób, zauważono bowiem, że szczególniej młode kurczęta i gołębie po spożyciu tych kwiatów zdychały. Nakoniec dla wróbli pora konwalji jest jednocześnie porą śmierci, gdyż każdy wróbel, który rozdziobie zwiędły ten kwiat jest zgubiony.

Odpowiedzi od redakcji.

P. R. G. w Kor. Zamieściliśmy—w koszu.

P. Puch. w Radomiu. Za słowa uznania dziękujemy. Pójdziemy po tej drodze, dopóki nam sił starczy, bo jesteśmy przekonani, że tylko szczera miłość współbraci i pragnienie dobra kierują naszem piórem. Pisząc, nie zapominamy, że sądzeni będziemy nie tylko dziś, ale i przez tych, którzy po nas przyjdą.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca: **Wiktor Brześciański.** Дозволено Цензурою, г. Радомъ 8 Іюня 1899 г. Druk J. Grodzickiego w Radomiu.